

Pisarze

Ylljet Alička

– Mężczyźni to najdziwaczniejsze stworzenia pod słońcem – odezwała się znana pisarka Vera B. do swojego współtowarzysza podróży, gdy lecieli razem samolotem do pewnego skandynawskiego miasta na trzydniowe międzynarodowe spotkanie znanych pisarzy.

Siedzący obok niej pisarz Andrea M., o którym gwooli prawdy należy powiedzieć, iż cieszył się sławą skromniejszą niż ona, skinął głową i pogrążył się w milczeniu. Wówczas sławna pisarka poczuła się w obowiązku coś dodać:

– Mężczyzna im bardziej gburowaty, chciałam powiedzieć – bardziej uparty lub tępy – tym mniej zna się na rzeczy.

Słyszac taką opinię, skromny pisarz Andrea M. zapytał delikatnie:

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że... czasem mi się wydaje, że Bóg stworzył mężczyzn jedynie po to, by kobiety wariowały na ich punkcie lub popełniały samobójstwa.

Także po tym spostrzeżeniu Andrea nie miał nic mądrego do powiedzenia, toteż zamilkł na dobre.

Znana pisarka była istotnie uroczą kobietą, trochę roztrzepaną. Miała dorodne piersi i lotny umysł. Jej kolega musiał się bardzo skupiać, by nie uronić niczego z jej złotych myśli, które wygłaszała raz po raz.

Uwielbiała mówić o wszystkim, „tak, jak jest w rzeczywistości”, bez owijania w bawełnę oraz korzystać z życia z tą wspianą lekkością, daleką od

wszelkiej hipokryzji lub fałszu, który zwykle charakteryzuje ludzką naturę. Jak każdy pisarz na świecie.

Sławnej pisarce towarzyszył na lotnisku mąż, sławny naukowiec. Oboje tak się zespolili w pożegnalnym uścisku, iż nie mogli się od siebie oderwać, aż Andrea musiał delikatnie klepnąć męża w ramię. Gdy pasażerowie wsiadli do samolotu, mąż nadal uparcie tkwił przy ogrodzeniu lotniska, machając ręką, a ona, lekko wydymając wargi, przesłała mu delikatną rączką pocałunek. Oczywiście nie mógł z daleka niczego widzieć, ale mimo to zapamiętało machać bez sensu, wpatrując się w samolot, dopóki nie zaczął kołować.

Po zakończeniu tego cikliwego rytuału Vera poprawiła włosy, rozejrzała się wokół i rzekła:

– Całkiem niezły! – Po czym uniosła kieliszek z czerwonym winem i odezwała się do Andrei: – Zdrowie! Jestem niezmiernie zadowolona, że te wszystkie dni spędzimy razem.

– Ja także – przyznał szczerze skromny pisarz.

Vera, popijając wino drobnymi łydkami, skierowała wzrok na siedzącego przy oknie potężnego brodacza, z wyglądu nordyka, który spoglądał na niebo całkiem obojętnie, i stwierdziła sucho:

– Ależ on ma zielone oczy!

– Kto taki? – spytał Andrea.

– Ten świński blondyn obok – rzekła tym swoim chłodnym tonem, następnie odwróciła głowę, raz jeszcze rzuciła okiem i dodała: – Nie, nie. Wydaje mi się, że są błękitnozielone, przyjrzyj się uważnie i nie czekając na odpowiedź, szepnęła coś do nordyka, któremu widać schlebiała rozmowa ze znaną pisarką.

– Mnie też tak się wydaje – zareagował Andrea z opóźnieniem. Oczywiście miał na myśli błękitnozielone oczy nordyka.

– Co za dziwaczny typ! – zwróciła się znowu do drzemiącego Andrei, a ponieważ nie otrzymała odpowiedzi, perorowała z jeszcze większym zapałem i od czasu do czasu chichotała, uderzając dłońmi w odsłonięte kolana.

Niestety, zielonooki brodacz leciał w innym kierunku niż ona, ale tak się szczęśliwie dla obojga złożyło, że mieli dość czasu, by zniknąć na długo podczas tranzytu i zostawić skromnego pisarza samotnie nad kuflem piwa w lotniskowym barze. Wróciła do baru tuż przed odlotem samolotu i stwierdziła:

– Przystojniak... I o to chodzi!... Pociągający.

W dalszej części podróży siedzieli w rzędzie z dwoma fotelami, więc mieli więcej czasu na rozmowę.

– Gdyby wszystko w życiu było oczywiste, a więc przewidywalne, nie byłoby sztuki, a więc nie mielibyśmy o czym pisać, czyż nie tak? – skonstatowała Vera.

– Właśnie – przytaknął Andrea i uśmiechnął się blade.

Następnie dyskutowali o sztuce i o tych wszystkich cechach, które odróżniają pisarzy od pozostałej części ludzkości, a doszedłszy do wniosku, że pisarze są istotami najbardziej błyskotliwymi na świecie, zapadli w słodką drzemkę.

Przylecieli do kurortu pod wieczór, gdzie czekał na nich kierowca, który zawiózł ich do romantycznego hotelu, wypełnionego po brzegi sławnymi pisarzami i otoczonego wysokimi, „jak nagie szkielety”, drzewami, jak sparafrazowała je później znana pisarka.

Do sali konferencyjnej podwoził pisarzy oddany im do dyspozycji luksusowy autokar.

– O Boże, przyjrzyj się uważnie temu, który siedzi dwa rzędy za nami – nachyliła się Vera do swego towarzysza, gdy wsiedli do autobusu – ale tak, by się nie domyślił, że na niego patrzysz.

Andrea odwrócił głowę i rzeczywiście ujrzał mężczyznę o niebieskich oczach, który chyba zrozumiał, że patrzą na niego, i przesłał im kurtuazyjny ukłon.

– Domyślił się? – spytała pełna ciekawości.

– Hmm... jak by to powiedzieć – stropił się Andrea.

– Mężczyźni nie mają wycucia. Czyż on nie wydaje ci się boski w swoim bezkresie lekceważenia? Ma straszliwie obojętną twarz, spokój, który pociąga lub wstrząsa. Przypomina mi mojego syna, gdy śpi.

Andrea spojrział na nią zdumiony i zamilkł.

W sali obrad, tonącej w półmroku, natychmiast rozejrzała się na boki, podeszła do swego kolegi i szepnęła do ucha:

– Mam wrażenie, że nie jest to dla mnie odpowiednie miejsce, dla mojej urody – roześmiała się głośno, skupiając na sobie uwagę wszystkich pisarzy obecnych na sali.

Usiedli na miejscach, które całkiem przypadkiem znajdowały się w pobliżu błękitnookiego pisarza z olimpijskim spokojem na twarzy. W przerwie natychmiast gdzieś się zapodziała i odnalazła następnie na krześle obok niego. Mówiła i śmiała się bez przerwy.

Podczas obiadu znalazła chwilę, by przeprosić Andreę, że tym razem nie zje z nim, gdyż „całkiem przypadkiem spotkała najbardziej pociągającego mężczyznę na tej nudnej konferencji”.

– Wszystko ci później opowiem – zaszczębiotała i odfrunęła.

Wróciła do hotelu po południu wniebowzięta i usiadła przy stoliku Andrei.

– Cuda się zdarzają – rozpoczęła po chwili – a życie jest pełne niespodzianek. W ogóle nie mogłam się skupić na konferencji. W pewnym momencie odniosłam wrażenie, że ktoś się we mnie wpatruje, mimo iż w ogóle nie dałam mu powodu. Być może wy, mężczyźni, nie macie tej intuicji, ale zrozum... ja wyczułam, jak on pożera mnie wzrokiem. Nie wyobrazasz sobie, z jakim spokojem opowiada makabryczne historie, głosem tak subtelnym, trochę chrapliwym, że aż ciarki przechodzą.

– Kto? – ocknął się Andrea.

– No on, ten pisarz szwedzki. Powiem ci szczerze – ciągnęła w uniesieniu – gdy go całowałam, gdyż naturalnie całowaliśmy się, nie będę ukrywać, poczułam, że on całuje tak samo, jak i milczy, jest w tym spokojny do szaleństwa. Ciekawe, czy jest tak samo bosko nieporuszony, hm... w te klocki? Ot, zwykła ciekawość pisarki.

– Nie wiem, co ci odpowiedzieć... – zmieszał się jej przyjaciel.

– Bo niby skąd masz wiedzieć – roześmiała się – zaprosił mnie dzisiaj na kolację.

Spotkali się dopiero rankiem następnego dnia na werandzie hotelu przy śniadaniu, podczas którego ona nie wzięła nic do ust, tylko smętnie paliła papierosa i wycodziła przez zęby: „Był rzeczywiście taki, jakiego się spodziewałam”.

Andrea nie pamiętał, jakiego się spodziewała.

Następnego dnia przyszła jej kolej na zabranie głosu na konferencji. Trzeba przyznać, że mówiła rzeczy mądre, a zarazem bezwstydne, czym niezmiernie ujęła uczestników. Kończąc swoje wystąpienie, wyraziła głęboki żal, „że te drzewa wokół nas, przypominające nagie szkielety, nigdy nie będą mogły się objąć”.

Sala zatrzęsa się od oklasków.

W przerwie przysunął się do niej poeta z fajką w ustach, w wyszmelcowanym kapeluszu i w szalu koloru wiśni, zarzuconym niedbale lub przeciwnie – z wielką starannością. Poeta wyszeptał do Very zduszonym głosem:

– Osobiście wolałbym być jednym z tych nagich, wysokich drzew niż ludzką istotą.

– A ja wolałabym być obejmowana wiecznie – odparowała i to wystarczyło, by zaszyli się w kącie sali ze szklaneczkami whisky w rękę.

Andrea zawieruszył się w grupie irlandzkich pisarzy, którzy, jak to Irlandczycy, pili na umór. Dopiero późno w nocy, gdy na chwiejnych nogach doczłapał do pokoju i runął na łóżko, usłyszał huk zatrzaskiwanych drzwi, brzęk tłuczonych butelek i pijackie wrzaski. Hotel pograżył się we śnie dopiero nad ranem. Następnego ranka zobaczył ją siedzącą na tarasie hotelu z tym samym smętnym obliczem. Piła kawę obok poety w szalu koloru wiśni, zarzuconym niedbale na pomarszczoną szyję, z workami pod oczami z przepicia i bezsenności jednocześnie.

Miał minę najniezwyklejszego człowieka na ziemi.

Verze zablęsty oczy, gdy ujrzała Andreę, zaprosiła go do swojego stolika, ucałowała w oba policzki i poprosiła o kartę telefoniczną, ponieważ „ogarnęła ją straszliwa tęsknota za mężem i synem”. Nawet nie podziękowała Andrei, tylko złapała kartę i popędziła do telefonu przy barze.

Andrea pozostał sam z poetą w szalu koloru wiśni. Od telefonu dolatywały rzewne urywki: „...misiaczkę mój najśladzszy, nie martwcie się, jeszcze tylko dwa dni... i mamusia wraca, myślę o was bez przerwy, całuję mocno, kupiłam +

wam obu prezenty... Kocham was bez reszty. Pa, pa”.

Ledwie skończyła, wytarła łzy i usiadła bez słowa. Ulżyło jej, a w tym czasie artysta palił w milczeniu swoją fajkę. Wyglądał, jakby popełnił największe przestępstwo na świecie.

– Nie patrz tak na mnie, do niczego nie doszło – zwróciła się do Andrei – on całą noc to rzygał, to palił fajkę. A nawet gdyby chciał, i tak by nie mógł po całej tej wódzie wypitej w ciągu dnia. Nie znoszę mężczyzn, którzy biadolą na cały świat i takie tam trele-morele. Ale jednak zrobiło mi się go żal, gdy zobaczyłam go takiego całkiem przegranego, bezsilnego, więc przytulałam jego głowę przez całą noc do swoich piersi, on zaś czekał i przeklinał swój podły los. Zaprosił nas oboje na kolację z niespodzianką, jak sam się wyraził. Aby jeszcze raz okazać swą wdzięczność, Vera spojrzała na artystę, który siedział sztywno jak kołek, nie rozumiejąc ni w ząb tego, co ona mówi, uśmiechnęła się do niego czule i, zmieniając natychmiast wyraz twarzy, spytała swojego przyjaciela:

– Chyba cię nie zanudziłam?

– Skądże – odparł grzecznie.

– Proszę, następnym razem nie zostawiaj mnie samej. W końcu życie nie jest łatwe, nieprawdaż?

– No tak – przyznał Andrea i uśmiechnął się ni w pięć, ni w dziewięć do artysty.

Zanim nadeszła pora kolacji, Vera zachwyciła się pewnym brunetem. „Chyba hiszpański poeta, ujrzałam go w windzie, i sam rozumiesz, niekiedy słowa są zbędne”. Wystarczyło tylko tych kilka chwil, „o Boże, życie nabiera całkiem innego sensu w zależności od tego, z kim je przeżywasz”, i śniadolicy przesyłał ją wzrokiem torreadora, a kiedy winda się zatrzymała, wziął sprawy w swoje ręce, „ja nie pisnęłam ani słówka, nie uczyniłam żadnego kompromitującego gestu. O Boże, jacyż mogą być mężczyźni, rzucił się na mnie wściekle, mówiąc dokładniej, dusił w objęciach do utraty tchu, jakby zmagiał się z bykiem. I wszystko to bez słowa”.

Później w milczeniu pili więcej, niż mogli.

Zaczerpnęła powietrza, a ponieważ należała do tych, którzy nie owijają niczego w bawełnę, spojrzała Andrei głęboko w oczy i walnęła:

– Niesamowite, z nim zobaczyłam fiolet. Rozumiesz? Fiolet.

– Wiem, o jaki kolor chodzi – ale co to ma do rzeczy? – uśmiechnął się niepewnie.

– Myślałam, że wiesz. To znany fakt. Każda doświadczona kobieta wie, że chodzi dokładnie o ten moment rozkoszy, gdy zatracasz się zupełnie i w oczach ciemnieje ci od orgazmu. Wszystko staje się fioletowe. Mówiąc krótko, to coś więcej niż orgazm, coś niezmiernie... coś niewytłumaczalnego słowami tego świata.

Zamilkła na chwilę, by wyczuć, czy ją zrozumiał.

– Tak, tak, wiem, o jaki kolor chodzi – powtórzył skromny pisarz.

Na kolację z niespodzianką artysta samotnik zaprosił ich do lokalu na zboczach wzgórz. Przyszedł ze swoim najbliższym przyjacielem, który w czasie kolacji głęboko zachwyił się niezwykle oryginalną urodą znanej pisarki. To oczarowanie stało się powodem wyraźnego ochłodzenia stosunków między dwoma najbliższymi przyjaciółmi, co wyraźnie bawiło Verę.

A gdy nadszedł czas na tańce na drewnianej werandzie lokalu, ona tańczyła tylko z przyjacielem artysty, zostawiając go z Andreą, który w milczeniu wykańczał drugą butelkę wina. Tonęła rozanielona w ramionach najbliższego przyjaciela i od czasu do czasu uśmiechała się do Andrei, który z samozaparcie wysłuchiwał jego wynurzeń. W rzeczy samej artysta poświęcił się całkowicie wyjaśnieniu Andrei swojego niezdecydowania w kwestii nadejścia „tego upragnionego dnia”, czyli dnia, w którym się zabije, wyczerpująco tłumacząc, dlaczego nieustannie on się przesuwa, co jest straszliwą torturą w oczekiwaniu na ten „szczęśliwy dzień”.

Wróciła do stołu uradowana.

– Widziałeś? – spytała Andreę.

– Kogo?

– Tego Portorykańczyka, który nas obsługuje. Jak to możliwe, że nie zwróciłeś uwagi na tego niezdarę?! To student, ale w nocy dorabia jako kelner, typowy Portorykańczyk, z tym ich charakterystycznym luzem. Z początku go nie zauważyłam, ponieważ obsługiwał z tyłu, lecz w pewnym momencie niechcący dotknął mojej piersi przy podawaniu talerza. Boże, jacy są mężczyźni, być może zrobił to umyślnie, w końcu jest Portorykańczykiem, wszystkiego można się po nich spodziewać, odwróciłam głowę, po prostu, by zobaczyć, kto dotknął mojej piersi, i spojrzeliśmy sobie głęboko w oczy... coś jak... słodka zagadka, oczy miał jak... dwie studnie... gęsty mrok. Natomiast ten typ natychmiast zmarszczył brwi, gdy zaprosiłam Portorykańczyka do tańca.

– Nie zważaj na niego – usiłował uspokoić ją Andrea – on jest zajęty relacjonowaniem swego nieszczęsnego życia.

– Nie chodzi mi o tego starego głaba, ale o jego przyjaciela, któremu wyleciała z rąk sałatka. Co, także tego nie zauważyłeś?

– Tak, tak – potwierdził natychmiast Andrea. – Ale dobrze będzie, jeśli posiedzisz przez chwilę z nim. Mam na myśli artystę – powiedział Andrea, zamykając Verze usta, z których wyrzywał się niezbyt elegancki epitet – w końcu to on nas zaprosił i funduje twoje przyjemności.

– Och, nie mam cierpliwości wysłuchiwać w tę magiczną noc wiecznych utyskiwań mazgaja – prychnęła rozdrażniona, po czym znikła w tłumie kolorowych tancerzy.

Spóźniła się, a oni zabijali czas dołączającymi rozmowami, aż wróciła, cała w skowronkach i zlana potem, rzucając przymilnie:

– Och, zasmuciły się moje gołąbeczki. Jakże wam zazdroszczę. Zawsze mnie pociągały, a nawet kusiły męskie rozmowy, by się dowiedzieć, o czym +

rozprawiają w tym świecie zupełnie niedostępnym dla nas, kobiet.

Przed świtem ledwie żywi dowlekli się do hotelu.

Nazajutrz nastąpił wzruszający dzień rozstania. Jak zawsze, gdy rozstają się znani pisarze. Z tej okazji gospodarze urządzili hałaśliwe party, na którym pisarze wymieniali adresy z obietnicami przesyłania sobie nowych utworów. Vera siedziała cały czas przygaszona przy stoliku w kącie sali, obok artysty. Trzymali się za ręce, a gdy się rozstawali, całowali się namiętnie i łkali. Lecz nim ostatecznie opuścili kurort, jeszcze raz poprosiła Andreę o wybaczenie, „ponieważ musi się z kimś pożegnać”.

Lecz nie był to Szwed, z którym ucałowała się jeszcze raz i zostawiła Andreę z walizką w rękę, tylko, jak powiedziała później, ktoś, kogo poznała podczas pierwszej kolacji, ale którego na początku w ogóle nie doceniła, „ów olbrzym z włochatą piersią, który tak pięknie mówił o filozofii i podobny był do niedźwiedzia”.

– Ostatecznie każde rozstanie nosi w sobie jakiś niewyżnienie.

W samolocie Vera skupiła się na oglądaniu widoku z okienka, Andrea zaś piła wino w milczeniu.

– O Boże, ależ z niego nudziarz!

– Kto taki?

– On, ten misiek.

– Dlaczego?

– Chciał jechać za mną, „nigdy się nie rozstaniemy”, mówił.

– Jasne – mruknął Andrea – dlaczego nie powiedziałaś mu... prawdy?

– Powiedziałam mu jasno i otwarcie, że bardziej nie można. Lecz on nie zrozumiał lub nie chciał zrozumieć.

– Co powiedział? – zainteresował się Andrea.

– Co powiedział? „Nie wiem, czy różnię się od innych, którzy zakochują się na śmierć i życie, jednym słowem, nie mogę żyć bez ciebie” i takie tam głupoty. Spuchła mi od tego głowa. Człowiek podoba ci się... przez chwilę, ale to nie znaczy, że ma się przyczepić do ciebie, jak rzep do psiego ogona, na całe życie.

Westchnęła głęboko i zakończyła jednym z tych swoich stwierdzeń, zwalających rozmówcę z nóg:

– Porażki nie pomagają człowiekowi w zrozumieniu okoliczności, tylko siebie samego. Chociaż podobał mi się niezmiernie, wystarczyły dwie godziny rozmowy, by odkryć to, czego nie mogę wyrazić słowami... spodobał mi się taki, jaki był.

– Wiadomo... zawsze tak się dzieje – odezwał się refleksyjnie Andrea – miłość się umacnia, ilekroć napotyka przeszkody.

– Co mówisz? – spytała.

– W twoim wypadku na przeszkodzie stanęło to, że nie możecie więcej się spotykać... być może dlatego tak się pragniecie.

I by bardziej jej współczuć, Andrea chwycił ją za rękę, a po wypiciu ostatniej

butelki wina zaczął ziewać, i ziewał dopóty, dopóki samolot nie dotknął oczystej ziemi.

Przed wyjściem z samolotu Vera się ożywiła, poprawiła włosy, odświeżyła makijaż, opuściła zadartą spódnicę i szczerze westchnęła:

– O Boże, ależ się stęskniłam za mężem i synem!

Na lotnisku czekał na nią gburowaty naukowiec. Jak przed odlotem, tak i teraz rzucili się na siebie z dziką żądzą, a tymczasem Andrea ze stoickim spokojem czekał z walizkami w ręku. Po chwili ona przypomniała sobie o nim i rzekła do męża z figlarnym wyrzutem:

– Kochanie... zostawiliśmy Andreę...

Mąż z nieskrywaną odrazą podał rękę Andrei, otworzył drzwi i zatrzasnął za nim bez krzty delikatności.

Podczas jazdy do miasta w jednej ręce trzymał kierownicę, drugą obejmował małżonkę, która to przeżyła się jak kotka, to pieściła jego szyję i włosy, szepcząc do ucha czułe słówka, a samochód z tego powodu jechał zygzakiem i zbaczał to w prawo, to w lewo.

Tłumaczenie z języka albańskiego: **Dorota Horodyska**

Niepublikowane w Polsce opowiadanie (tyt. oryg. **Shkrimtarët**)
pochodzi ze zbioru: **Ylljet Aliçka, Kompromisi: tregime**, Onufri, Tirana 2000.